Janina Łagoda

Powojenny obszar Rzeczpospolitej, to wypadkowa apodyktycznych pomysłów globalnych mocarzy, a w mniejszym stopniu propozycji ówczesnych rodzimych polityków. Tamten tygiel zawiłości, mimo upływu czasu, nadal waży na odczuwaniu suwerenności, a rządzący w swoich wyobrażeniach stygmatyzują sąsiadów wedle schematów tradycją uświęconych. Narracja zmiękczana jest populizmem faszerowanym polską niezwykłością.
Nasze granice (ok. 3,5 tys. km) to niebagatelna marszruta. Rzecz w tym, aby krocząc obrzeżnym szlakiem, odejść od urojeń oraz selektywnego etykietowania jej odcinków, lecz znaczyć je pragmatyzmem. Granice, mimo że kreślone kamiennymi słupami i certyfikowane wyrafinowanymi pergaminami podlegają permanentnym odkształceniom. Dlatego też należy dbać o drożność dylatacyjnych szczelin, a w tych przypadkach podstawowym balsamem jest wzmacniane ponadgranicznych sympatii. Ten model współistnienia w praktyce różne przybiera kształty w odniesieniu do naszych siedmiu sąsiadów. Ale i ósmy, Bałtyk też generuje niemałe problemy, np. gazociąg północny (Nord Stream), łowiska wokół Bornholmu, Zalew Szczeciński, Mierzeja Wiślana etc. Graniczne styki, wymagają więc ciągłej konserwacji.

Ważny Zachód

Nasza zachodnia granica, licząca około 467 km, to fascynująca mikstura nasycona tragizmem, jak i pokojowymi peregrynacjami. Chodzi o to, aby na współczesności ważyły przyjazne gesty, a nie zasępione rysy historii.
Nie wnikając w odległe dzieje, to współcześnie na dobrosąsiedztwie nadal piętno znaczą teherańskie, jałtańskie oraz poczdamskie protokoły, gdzie zadecydowano o granicznym polskim losie. Nie nas pytano o przebieg granic, co najwyżej przyzwalano na wygłaszanie inwokacji, które Wielcy wykorzystywali jedynie dla legitymizacji własnych wizji bez zamiaru ich korygowania. Do dzisiaj więc pozostajemy na ziemskim obszarze wówczas ustalonym. Rozdzieranie szat przez urzędowych patriotów, że mogło być inaczej, to wprawdzie widowiskowa formuła, ale zarazem żałosny spektakl, reżyserowany na wewnętrzne polityczne potrzeby z pominięciem złożoności tamtych lat.
Kontur naszych granic musi nadal pozostawać przedmiotem szczególnej troski. Chodzi tutaj nie tylko o sporadycznie pojawiające się graniczne kwestie, ale o sąsiedzkie niuanse nasycane chimerami przeszłości. Narracje często komplikuje narzucony status quo i to bez szansy na modyfikację. Jest to szkodliwy werbalizm, marginalizujący naszą pozycję. Dotąd bowiem nie zaistniały okoliczności, aby unicestwiać tamte alianckie decyzje, chyba że dysponujący sejmową większością podejmą uchwałę o unieważnieniu powojennych ustaleń i wystąpieniu z grona zwycięskiej koalicji, jakby to paradoksalnie nie brzmiało. Czy trzeba w aż tak bezsensownej formie obnażać się przed światem? Bojaźń i odwaga to ludzkie cechy, ale miarkowanie nimi jest trudną sztuką.
Tegoroczne oficjalne wspominki o statusie dobrosąsiedztwa z Berlinem objęło swym zasięgiem zaledwie ostatnie ćwierćwiecze granicznych subtelności. Przemilczano wyboistą drogę, po której Rzeczpospolita kroczyła od zakończenia wojny do dnia dzisiejszego, a jest to pulsująca granica. Dobra zmiana chyba tego nie dostrzegła, albo wyrafinowanie pomija. To, co miało miejsce w ostatnim ćwierćwieczu polsko-niemieckich stosunków było poprzedzone latami

obopólnych zabiegów o trwałość granicznych stempli. Ich syntezę stanowią chociażby wspólne dokumenty z tamtych lat: 1950, 1951, 1970, 1989 wypracowywane niekiedy w przekornych argumentacjach. Nie sposób pominąć przykładowo Gomułki, Cyrankiewicza, Rapackiego, Osmańczyka, Mazowieckiego, Skubiszewskiego, Brandta, Kohla i wielu innych. Tego wymaga zwyczajna przyzwoitość i historyczna higiena. Inne zachowania prowadzić mogą do samouwielbienia, a narcyzm to przywara. Pamiętać też warto i o tym, że fizyczne granice państwa, to wartość istotna, także dla wewnętrznych ustrojowych układanek.
Statusu zachodniej, jak i każdej innej granicy nie wolno przebijać płaskimi sloganami. Warto, aby nasi decydenci wypowiadając się w sprawach polsko-niemieckich nie zapętlali przeszłości, ale kroczyli po zidentyfikowanych zdarzeniach i nie upraszczali historiografii. Fakty rządzą się własnymi prawami i można je co najwyżej opisywać, ale nie sposób ich skrywać, tendencyjnie modelować, przeinaczać itp., bo są zwyczajnie niezmienne. Nie można ich karczować tylko po to, aby, wzmocnić dobre samopoczucie dygnitarzy zwycięskiej partii. Myśl to uboga, bo ocierająca się o samozatracenie. Chwilowy kaprys negujący narzucony status może okazać się fatalny w skutkach. Z Trójką Mocarzy usiłowaliśmy rozmawiać, ale byliśmy tylko petentami. Nie ma więc podstaw, aby ówczesnych naszych przedstawicieli posądzać o zdradę. Konfabulacje z reguły przegrywają z logiką i zwyczajną uczciwością w osądzaniu innych. Dla osób o przyołtarzowych inklinacjach to chyba oczywistość. Okazuje się, że i oni popełniają pospolite grzechy. Konfesjonał, chociaż w naszej polityce głęboko osadzony, rzadko kiedy prostuje wybrzuszenia, a szkoda.
Oprawa obchodów ćwierćwiecza podpisania układu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy po zjednoczeniu Niemiec (1991 r.), sugerowała jakoby to dopiero wówczas nastąpił okupacyjny zmierzch, mimo że naszkicowane przez Wielką Trójkę graniczne kontury szczelnie wypełniamy od momentu zakończenia wojny. Po obydwóch stronach wprawdzie nie brakuje kontrowersji (np. przesiedlenia; wypędzenia), ale roztropność bierze górę. Wartość to ogromna. Dzisiejszym rządcom nie wolno niweczyć dorobku poprzedników. Nic innego nie pozostało jak pielęgnowanie arbitralnie wyznaczonych nam granicznych profilów, mimo że niektóre z nich, to odwzorowanie linii Curzona z 1920 roku wówczas tylko koncepcji, a po 1945 roku realności, skorygowanej zachodnimi rekompensatami za wschodnie włości.
Niekiedy gubimy się w polsko-niemieckim pojednaniu, zwłaszcza gdy górę bierze wyrafinowany werbalizm z litanią dyplomatycznych niezręczności, pouczeń etc., a to już zawada w dobrosąsiedztwie. Ciekawostką jest to, że owe gafy nie rujnują wewnętrznego rynku partyjnego poparcia dla sprawujących władzę. Kotwicowisko politycznych upodobań rodaków jest nieodgadnione. Paradoks albo normalność?

Wschodnie rozterki

Granica spora, bo licząca około 1260 km, ale przesiąknięta różnorodnością. Jeden sąsiad jest unijny i natowski (Litwa), inny grawituje ku tym sojuszom z naszym strategicznym wsparciem (Ukraina), kolejny zaś pozostaje w rozkroku między kremlowskimi sympatiami a zachodnim przyciąganiem (Białoruś). Graniczne problemy przebija jednak skromny długością, liczący zaledwie około 210 km odcinek oddzielający nas od rosyjskiego Obwodu Kaliningradzkiego. To on został dzisiaj wtłoczony w wojenne narzecze natowskich strategów o tzw. wschodniej flance i przesmyku suwalskim, tj. obszaru około 104 km ciągu polskiego odcinka biegnącego wzdłuż granicy polsko-litewskiej, oddzielającej Białoruś od Obwodu Kaliningradzkiego. Ów frontowy paradygmat jest różnicowany taktycznymi wizjami rządzących, których otoczyła mgławica

wojennego zagrożenia z tym, że nie wiemy kto, kiedy, i z której strony na nas napadnie. W tej chwili, wedle naszego, a także natowskiego scenariusza do roli agresora została wyznaczona Rosja, ale nie wiadomo dlaczego również Białoruś. Rzetelnego uzasadnienia brak. Chętnie rzuciliśmy się w te hipotetyczne tryby bez polityczno-ekonomicznej kalkulacji kosztów i zysków. Poczuliśmy nieodgadnioną moc i trwamy w tym przekonaniu. Co ważne, staramy się po raz któryś, pretendować do jedynego obrońcy Zachodu przed wieszczoną wschodnią nawałą. Stawiamy wszak warunek, że ochronę zapewni NATO, a więc internacjonalna zbiorowość, która w momentach wojennego kryzysu reaguje wedle decyzji własnych parlamentów, co nie zawsze musi pozostawać w zgodzie z naszymi oczekiwaniami. Słaby to wsad w gwarancję bezpieczeństwa. Nasza zaś polisa w tym paktowym układzie sprowadza się do podgrzewania antyrosyjskich emocji i gwarantowania jednego z najwyższych w natowskiej strukturze odpisu budżetowego na rzecz armii (do 3% PKB), zapominając o ochronie zdrowia, nauce, kulturze etc. Tymczasem NATO, w tym Stany Zjednoczone i inne państwa, także celujące armatnimi lufami we wspólnych nam rzekomych wrogów nie stronią od rozmów z Kremlem. Przykład, to chociażby spotkanie Rosja – NATO, Moskwa – Waszyngton, nie licząc innych mniej lub bardziej oficjalnych kontaktów, także ze strony natowskich i unijnych państw. Dla nas to bariera, a troską nasiąkłe sugestie o ewentualny dialog z Rosją ocierają się o anatemę, nawet o zarzut zdrady. Logika geograficznego położenia wymusza na nas dysponowanie nie tyle wyrafinowaną bronią, co wysokiej jakości dyplomatycznym oprzyrządowaniem. Trzeba zatem rozmawiać, a nie kopać transzeje na drodze Wschód – Zachód, bo Rosja i Niemcy, ale inni również ten trakt doskonale znają i potrafią omijać przeszkody. W prognozowanych wojennych bataliach redzikowska łopata niewiele znaczy. Pora więc na realizm.

Wojenny oręż ma swoją wagę i nie może być rozstrzeliwany pozorami eklektycznej strategii, podbudowywanej kontrowersyjnymi widowiskowymi rekonstrukcjami przeróżnych dziejowych zaszłości. A może owe strategiczne zabiegi rozwiązałaby wzmocniona kompania reprezentacyjna WP, wsparta oddziałem kapelanów? Jej paradna skuteczność jest niezwykła, bo bezwzględnie wpleciona w gruntowanie społecznych podziałów, np. nakaz szantażowania formułą smoleńskiego apelu wszystkich uroczystości z udziałem wojska, także tej tragicznej, wrześniowej. Znaj proporcja mocium panie, jakby to ujął stary Zagłoba.

Teatralne zadęcia rządzących są nieograniczone, a defiladowy krok opanowali w przyzwoitym wariancie. Niewiele to ma wspólnego z obronnością, ale z partyjnym poklaskiem już tak. Gorzej z realizacją pozostałych statutowych powinności. Do narodu jest wprawdzie kierowany zestaw haseł o potrzebie zwiększenia liczebności armii, ale problemem pozostaje wpisanie tego zaciągu w taktyczny porządek wymaganego uzbrojenia i jego coraz bardziej wyrafinowanej obsługi. Chodzi o bojową skuteczność, która urealniłaby patriotyczny tekst hymnu Parasola: a na tygrysy mamy visy. Okazuje się, że sytuacja jest dynamiczna. Armia do niedawna bankrut – wedle oceny jej szefa – dzisiaj, po chwili jego urzędowania, to orężny fenomen, dla którego wysłanie czterech sprawnych samolotów i około dwustu żołnierzy do walki z państwem islamskim okazuje się w tej ruinie prostym, ale widowiskowym zabiegiem. Nie ma sygnałów czy ta odsiecz już dotarła do miejsca przeznaczenia i czym skutkuje. Taka to już romantyczna wersja naszego pragmatyzmu.

Z sąsiadami zawarliśmy układy o przyjaźni i dobrosąsiedzkiej współpracy. Dotąd nikt z drugiej strony nie kwestionował tych zapisów. Skąd więc się biorą objawy wschodniego wojennego zagrożenia? Dziwi się wielu, także noblista Gorbaczow, niechętny aktualnym władzom Rosji. A to on przecież zdecydował o wycofaniu armii radzieckiej z Niemiec i państw Europy Południowo-Wschodniej, w tym Polski. Natomiast elity rządzące są coraz bardziej przekonane o

tym, że to Polacy własnym sumptem zmienili system bez kontekstu międzynarodowego. Wielu polityków uwielbia świst kul, ale chyba nie nad własną głową, co najwyżej w scenicznych inscenizacjach. Nie jest też tak, że cały naród, to niezachwiany jednolity puklerz przed obcymi. Okazuje się, że społeczna aprobata dla takiej opcji jest skromna. Wedle różnych sondaży, zaledwie około 37% rodaków oznajmia gotowość do uczestniczenia w działaniach obronnych. Natomiast 13% w momencie grozy zamierza opuścić ojczyznę, wśród nich zapewnie i ci z ustami pełnymi patriotyzmu. Zaleszczyki nie były więc abstrakcją i oby nie zakotwiczyły się w dzisiejszej wersji niezłomności.

W tej chwili wschodnią politykę rządzących zdeterminował nieprzejednany kurs wobec kremlowskiego globalisty z jednoczesnym zabieganiem o zwiększenie tzw. natowskiej obecności na obszarze Najjaśniejszej. I co dalej? Skutki tego zauroczenia mogą ogłuszać. Chyba naszym politykierom nie idzie o to, aby na tej ziemi miał się rozegrać kolejny dramat Rzeczpospolitej? Przy takim sposobie myślenia, szanse na zgotowanie narodowi piekła są ogromne. Na pewno nie wzmocni tego tzw. strategiczne partnerstwo z Ukrainą, bo żadne to mocarstwo, a i interpretacja historycznych zaszłości sąsiedztwa przytłacza autentyczne pojednanie. Wspólnym mianownikiem nadal więc pozostaje rusofobia, a to nędzny oręż.

Białoruś na równi z Rosją znalazła się w polsko-natowskich wojennych kompozycjach, mimo że realizuje własną politykę samostanowienia i nie objawia agresji wobec nas. Przeciwnie ostatnio prezydent tego kraju przyzwolił na bezwizowy ruch przygraniczny z naszym krajem. Warto ten pretekst wykorzystać dla ocieplenia sąsiedzkich stosunków. Ale - jak dotąd – wolimy irytujący Biełsat TV, satelitarny kanał wchodzący w skład Telewizji Polskiej i przez nią finansowany. W tym pomyśle trudno się doszukać algorytmu jego pozytywnej skuteczności, poza profitami dla osób z tą koncepcją związanych. Dzieci dawnych tzw. opozycjonistów też muszą gdzieś pracować.

Litwa, to odrębny zarys przyjaźni, niedomówień, obaw, kalkulacji nad czym unoszą się echa Rzeczpospolitej Obojga Narodów, kiedy to dla wielu Korona i Litwa stanowiły całość. Dzisiaj te imaginacje łagodzi partnerstwo w UE i NATO, ale nadal staramy się odgrywać rolę pouczającego. Nasza dyplomacja utknęła na poziomie podstawówki, czyniąc problem z kontrowersji wokół językowych subtelności, ale o zerowym praktycznym wymiarze w obustronnych akceptacjach. Wchodzenie zaś w wewnętrzne kwestie obcego państwa, to gwarancja konfliktu. W litewskim przypadku rządzący winni zabiegać o kompromis, a nie jego oddalanie.

Nasi politycy w eklektycznych narracjach przykryli wschodnią granicę domniemanymi agresorami. Tylko dyskurs zainteresowanych stron, owiany koncyliacyjnymi intencjami może przysłużyć się RP, bo Wschodu orężem raczej nie zawojujemy ani przed nim się nie obronimy, nawet z zaciężnym natowskim wojskiem. Ponadto niektóre wojenne akcesoria stawiane na naszej ziemi komplikują dialog ze wschodnimi sąsiadami, tworząc atmosferę zagrożenia, a już na pewno dla okolic, gdzie programuje się np. budowę tzw. tarczy antyrakietowej, która w naszym wydaniu kojarzy się raczej z gwiezdnymi wojnami odległymi od przyziemnych militarno-gospodarczych interesów Polski.

Południowa granica też wymaga troski, a to chociażby z przyczyn dotąd nieuregulowanego tzw. długu granicznego, kiedy to w 1958 roku polski rząd przekazał Czechosłowacji 1200 ha pogranicza, otrzymując tylko 840 ha. Są też kopaliny, które lekceważąc naziemne słupy działowe tworzą transgraniczne podziemne enklawy. Ich eksploatacja wymaga nie tylko górniczych, ale i dyplomatycznych przedsięwzięć. Niekiedy echem też odbija się Zaolzie, wzmacniane powojennymi faktami przykładowo o niechlubnej działalności Ognia na Podhalu,

Orawie i Spiszu, watażki, którego wątpliwą chwałę uhonorowano w 2006 roku zakopiańskim pomnikiem. Dzisiaj tamten niewytłumaczalny gest jest kontynuowany wobec innych, a zastępy wyklętych meblują patriotyczną scenę RP, także w międzynarodowych relacjach. Postponowane jest nawet zawołanie ważnego idola dzisiejszej prawicy J. Piłsudskiego: ciszej nad tą trumną.

Inne przesieki

Areał ziemskiego posiadania, to ważna rzecz. Dla jego ochrony w zglobalizowanym świecie jest potrzebny dyplomatyczny parasol, a mniej karabin. Warto zwrócić uwagę i na to, że w europejskiej szerokości geograficznej od ponad 70. lat nad wojennymi pomysłami, na szczęście, górują pokojowe układy. Korzystny to znak. Winniśmy więc cenić dyplomację oddalającą groźbę wojennej krucjaty. Naszym geograficznym granicom nic poważnego nie dolega, ale w pokojowej wersji dręczą je przeróżne zawirowania, wymagające politycznej filtracji.
Wschodnią granicę dodatkowo obciążyliśmy wspomnianym wyimaginowanym tzw. przesmykiem suwalskim, autorstwa natowskich strategów. Głosy niektórych polityków w analogiach dorównują zagrożeniu przedwojennemu korytarzowi, pojęciu wymyślonemu z kolei przez III Rzeszę. To tam najchętniej widzielibyśmy natowskie oddziały, ale dzisiaj bunkry dla obrony granic na modłę francuskiej linii Maginota to utopia. Priorytetem w ubezpieczaniu przyczółków naszego państwa winna być powściągliwość. Wybraliśmy wariant przygranicznego dozbrajania, a to niekoniecznie dobra strategia.

Perspektywa

Walka z faktami jest robotą Syzyfa i dziwić się należy, że inicjują to najważniejsze osoby w państwie. Czyż można wycinać rozdziały ojczystych dziejów i zatapiać je w nieprawdzie? Jest to niemożliwe. Historia państwa, to ciągłość losów tak, jak życiorys każdego z nas. Jeśli ze zwiewną łatwością podchodzi się do owych biogramów, to trudno się dziwić, że konsekwencją tego są dostępujące nas urazy w postaci rozbiorów, okupacji, zmian granic, wewnętrznych politycznych swarów etc. Pora więc, aby bez uprzedzeń do przeszłości, patrzeć naprzód i z należytym szacunkiem traktować zabiegi naszych protoplastów, którzy może z różnych punktów widzenia i różnym skutkiem, ale zawsze troszczyli się o granice Rzeczpospolitej. Smutno, że ten truizm trzeba dzisiaj przywoływać rządzącym. Chyba nie zdają sobie sprawy z tego, że za chwilę sami znajdą się w tyglu historycznych analiz. Niezłomność, to wspaniała cecha charakteru, ale praktyczne jej stosowanie przymusza do roztropności. Werbalne deklaracje okazjonalnie oznajmiane wymagają czynów, a to niepowszednia umiejętność.

***

Granice państwa i wszelakie rozsądne zabiegi o jej trwałość, to świętość łącząca żyjącą na tym obszarze społeczną wspólnotę. Tak też należy odczytywać sens warszawskiego natowskiego spotkania (8 - 10 lipca 2016 roku). Jego rezultatów nie można jednak sprowadzać wyłącznie do kwatermistrzowskich zasług rządu. Był to wprawdzie ważny element owego zjazdu, jednak odległy od jego istoty. Spotkali się po to, aby w jednej sali rozwiać ewentualne wątpliwości i podcyfrować kolegialną wizję strategii, a nie dla jadłospisu i innych przyziemnych atrakcji.

Naturalne pozostają obowiązki i inwencja gospodarza spotkania, ale tym sosem nie wolno egoistycznie maścić merytorycznych uzgodnień, co w narracji naszych polityków bierze niestety górę.
Stabilność granic gwarantuje też UE. I dlatego należy czynić wszystko, aby ją cementować, a nie podejmować próby jej reformowania wedle patentu dobrej zmiany. Grupa Wyszehradzka może jest i niezłym pomysłem wszak pod warunkiem, że pracuje na rzecz integralności Unii, a nie jej frakcyjności.

Janina Łagoda